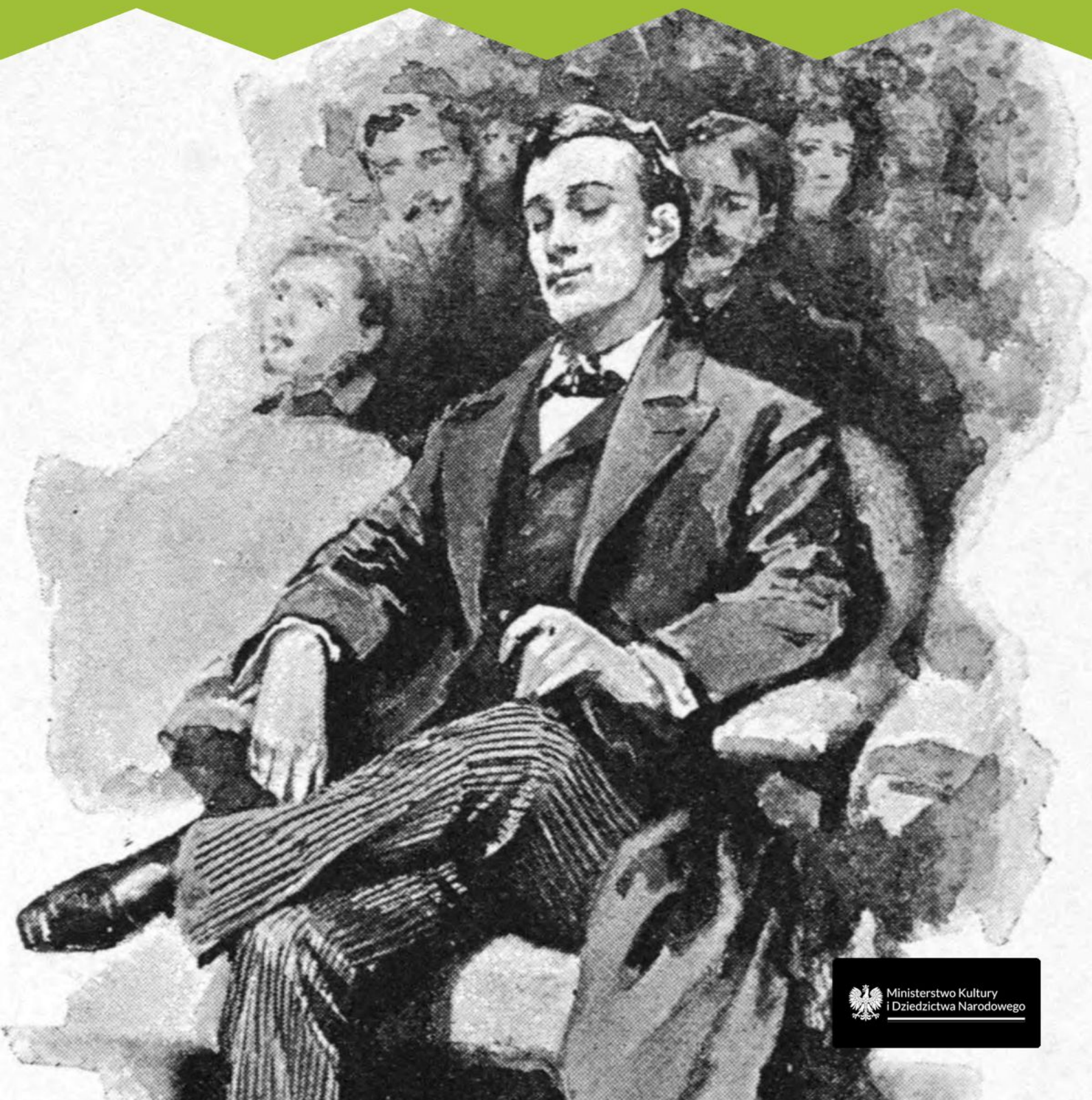


Klub Rudowłosych



ARTHUR CONAN DOYLE

Klub Rudowłosych

Pewnego dnia jesienią zeszłego roku zaszedłem do mego przyjaciela Sherlocka Holmesa i zastałem go pogrążonego w rozmowie z bardzo tęgim, rumianym starszym mężczyzną o ognistorudych włosach. Przeprosiłem za najście i już chciałem się wycofać, gdy Holmes gwałtownie wciągnął mnie do środka i zamknął za mną drzwi.

— Nie mogłeś przyjść w odpowiedniejszej chwili, drogi Watsonie — powiedział serdecznie.

— Myślałem, że jesteś zajęty — odrzekłem.

— Istotnie, jestem. Nawet bardzo.

— W takim razie mogę poczekać pokoju obok.

— Ależ nie, zostań... Panie Wilson, ten dżentelmen był mi towarzyszem i pomocnikiem w wielu moich najbardziej udanych sprawach i nie wątpię, że będzie bardzo pomocny również w pańskiej.

Tęgi mężczyzna uniósł się z krzesła i skinął głową na powitanie, obrzucając mnie szybkim, badawczym spojrzeniem małych oczu okolonych fałdami tłuszczu.

— Usiądź — poprosił Holmes, opadając z powrotem na fotel i stykając dłonie końcami palców, jak to zwykle robił w chwilach głębokiego namysłu.

— Wiem dobrze, drogi Watsonie, że podzielasz moje zamięłowanie do wszystkiego, co niezwykle, co wykracza poza monotonię codziennego życia. Okazałeś to, spisując z entuzjazmem i, wybaczyć, że to powiem, nieco ubarwiając tak wiele moich drobnych przygód.

— Twoje dochodzenia istotnie były dla mnie niezmiernie interesujące — odparłem.

— Przypominasz sobie zapewne, że zanim zaczęliśmy rozwiązywać prostą sprawę, którą przedstawiła nam panna Mary Sutherland¹, powiedziałem, iż życie samo wytwarza najdziwniejsze wypadki i najbardziej zdumiewające powikłania, przekraczające wytwory najbujniejszej fantazji ludzkiej.

— Stwierdzenie, w którego słuszność pozwoliłem sobie wątpić.

— Owszem, będziesz jednak musiał zgodzić się z moim poglądem. W przeciwnym razie będę przytaczał ci tyle faktów, aż twój rozum się pod nimi ugnie i przyznasz mi rację. Oto teraz na przykład pan Jabez Wilson był łaskaw odwiedzić mnie dziś rano, żeby opowiedzieć historię, której nie słyszy się codziennie. Jak pamiętasz, mówiłem już wcześniej, że rzeczy niezwykle przytrafiają się częściej przy drobnych przestępstwach aniżeli przy wielkich zbrodniach. Niekiedy nawet wątpliwe jest, czy na pewno zostało popełnione jakiegokolwiek przestępstwo. Być może zatem, że i teraz nie mamy do czynienia z żadnym przestępstwem, ale z pewnością cała ta sprawa jest niezmiernie osobliwa. Panie Wilson, może byłby pan tak uprzejmy zacząć swą opowieść od nowa. Proszę o to nie tylko dlatego, żeby mój przyjaciel doktor Watson mógł usłyszeć tę historię od początku do końca, ale również dlatego, że ze względu na jej niezwykle charakter chciałbym, ażeby żaden, najmniejszy nawet drobiazg nie uszedł mojej uwagi. Zwykle kiedy dowiaduję się, co się w ogólnym zarysie wydarzyło, mogę kierować się tysiącami podobnych przypadków, które przychodzą mi na myśl. Ale tym razem muszę przyznać, że nigdy nie słyszałem niczego podobnego.

Klient Sherlocka z dumą wyprężył pierś, sięgnął do wewnętrznej kieszeni surduta, wyciągnął brudną, pomietaną gazetę i rozłożył ją na kolanach. Kiedy pochylił głowę i zatopił

Los

¹Mary Sutherland — postać z opowiadania Arthura Conana Doyle'a *Sprawa tożsamości* (ang. *A Case of Identity*) z serii przygód Sherlocka Holmesa. [przypis edytorski]

wzrok w dziale ogłoszeń, miałem sposobność przyrzeć mu się uważnie i spróbowałem, wzorem mojego przyjaciela, po jego ubraniu i wyglądzie odgadnąć, kim jest.

Niewiele to mi dało. Od razu można było zauważyć, że nasz gość był przeciętnym brytyjskim kupcem, otyłym, nadętym i nudnawym. Miał na sobie workowate szare spodnie w kratkę, rozpięty, niezbyt schludny czarny surdut oraz jasnoszarą płócienną kamizelkę, na której widniała ciężka, pretensjonalna mosiężna dewizka z ozdobą w postaci kawałka metalu z kwadratowym otworem pośrodku. Na krześle obok leżał mocno zniszczony cylinder i spłowiałe palto z wytartym aksamitnym kołnierzem. Mimo że przyglądałem się naszemu gościowi najdokładniej, jak potrafiłem, nie dostrzegłem w nim niczego szczególnego, chyba to tylko, że miał włosy czerwone jak ogień, a w rysach twarzy odbijało się zniechęcenie i rozdrażnienie.

Bystremu oku Sherlocka Holmesa nie uszło uwagi, czym jestem zajęty, a na moje pytające spojrzenie z uśmiechem pokręcił głową:

— Poza oczywistymi faktami: że pan Wilson pracował kiedyś fizycznie, że zażywa tabakę², że jest wolnomularzem³, że był w Chinach i że w ostatnich czasach musiał sporo pisać, niczego więcej nie potrafię wydedukować.

Jabez Wilson z przerażeniem w oczach podskoczył na krześle. Trzymając palec wskazujący na gazecie, wpatrywał się w mojego przyjaciela.

— Na litość boską, skąd pan to wszystko wie, panie Holmes? — zapytał. — Skąd na przykład może pan wiedzieć, że kiedyś pracowałem fizycznie? To prawda, jak Bóg na niebie, zaczynałem jako cieśla okrętowy.

— Poznałem po pańskich rękach, drogi panie. Prawa ręka jest wyraźnie większa od lewej, co dowodzi, że musiał pan nią wiele pracować i mięśnie są lepiej rozwinięte.

— A tabaka, a wolnomularstwo?

— Obrażałbym pańską inteligencję, wyjaśniając szczegółowo, jak do tego doszedłem, zwłaszcza że wbrew surowym regułom zakonu nosi pan broszkę z cyrkiem i węgielnicą.

— Ach, oczywiście. Zapomniałem o tym. A pisanie?

— Na cóż innego mógłby wskazywać prawy mankiet, wyświecony na pięć cali⁴, i lewy, gładko wytarty na łokciu, tam gdzie ręka opiera się o biurko?

— No dobrze. Ale Chiny?...

— Taką rybę, jaką ma pan nad prawym nadgarstkiem, mogli panu wytatuować tylko w Chinach. Zajmowałem się kiedyś trochę tatuażami i stworzyłem nawet przyczynek do literatury tego przedmiotu. Ten sposób barwienia rybiej łuski na delikatny różowy kolor jest właściwy wyłącznie Chinom. Gdy dodatkowo zobaczyłem zawieszoną na pańskiej dewizce chińską monetę, sprawa stała się zupełnie prosta.

Jabez Wilson zaśmiał się donośnie.

— Tam do licha! Na początku myślałem, że zrobił pan coś bardzo sprytnego, ale teraz widzę, że to nic takiego.

— Zaczynam myśleć, Watsonie — powiedział Holmes — że popełniłem błąd, wyjaśniając, jak doszedłem do swoich wniosków. *Omne ignotum pro magnifico*⁵, jak wiesz, a moja skromna reputacja może lec w gruzach, jeśli będę tak szczery. Panie Wilson, czy udało się panu znaleźć to ogłoszenie?

— Tak, już je mam — odrzekł mężczyzna, wskazując tłustym, czerwonym palcem środek kolumny. — To ono, od niego się wszystko zaczęło. Niech pan sam przeczyta.

Wziąłem gazetę i przeczytałem:

DO KLUBU RUDOWŁOSYCH. Na mocy testamentu zmarłego Ezechiasza Hopkinsa z Lebanon w stanie Pensylwania, USA, pojawiło się jedno

²tabaka — sproszkowany tytoń, zażywany przez wciąganie nosem, co ma powodować przyjemny odruch kichania i oczyszczać górne drogi oddechowe. [przypis edytorski]

³wolnomularze — członkowie wolnomularstwa (masonerii), powstałego w XVIII w. hermetycznego stowarzyszenia międzynarodowego o hierarchicznej strukturze wewnętrznej, mającego na celu moralne i społeczne doskonalenie człowieka, braterstwo ludzi różnych religii, narodowości i poglądów; symbolika masonerii odwołuje się do przerośni budowania jako obowiązku każdego z członków, do używanych symboli należą przedmioty używane w pracy przez dawnych murarzy: węgielnica, cyrkiel, pion, kielnia itp.; nazwa „wolnomularstwo” oznacza wolne mularstwo, gdyż słowa „murarz” i „mularz” były synonimami. [przypis edytorski]

⁴cal — anglosaska miara długości, równa ok. 2,5 cm; pięć cali to ok. 13 cm. [przypis edytorski]

⁵*omne ignotum pro magnifico* (łac.) — wszystko, co nieznanne, wydaje się wspaniałe (Tacyt, *Żywot Agrykoli*, 1.30). [przypis edytorski]

wolne stanowisko upoważniające członka Klubu do otrzymywania wynagrodzenia w wysokości 4 funtów⁶ tygodniowo w zamian za czysto symboliczne usługi. O posadę może ubiegać się każdy rudowłosy mężczyzna, zdrowy na ciele i umyśle, który ukończył 21 lat. Zgłaszać się osobiście w poniedziałek o 11 rano do pana Duncana Rossa w siedzibie Klubu przy Pope's Court 7, Fleet Street⁷.

— Cóż to, do licha, oznacza? — zawolałem, odczytawszy dwa razy z rzędu to zadziwiające ogłoszenie.

Holmes zachichotał i zaczął się wiercić w fotelu, co było u niego oznaką nadzwyczajnego zadowolenia.

— Niezwykłe, nieprawdaz? — rzekł. — A teraz, panie Wilson, przejdźmy od razu do rzeczy i niech nam pan opowie wszystko o sobie, swoim domu i o tym, jak to ogłoszenie wpłynęło na pańskie życie. Najpierw, doktorze, zanotuj nazwę i datę gazety.

— To „Morning Chronicle”⁸ z 27 kwietnia 1890 roku, czyli sprzed dwóch miesięcy.

— Wybornie. A teraz proszę mówić, panie Wilson.

— Mówiłem już panu, panie Holmes — odparł Jabez Wilson, marszcząc brwi — że posiadam mały lombard na Coburg Square, niedaleko City. Interes nie jest duży i w ostatnich latach ledwie wystarczało, żeby związać koniec z końcem. Dawniej zatrudniałem dwóch pomocników, teraz został tylko jeden, a i jemu z trudem miałbym z czego płacić, gdyby nie to, że zgodził się pracować u mnie za połowę pensji, żeby się przyuczyc do zawodu.

— Jak się nazywa ten uprzejmy młodzieniec? — zapytał Holmes.

— Vincent Spaulding, ale nie jest już młodzieńcem. Trudno powiedzieć, ile ma lat. Nie życzyłbym sobie bystrzejszego pomocnika, panie Holmes. Wiem, że mógłby sobie spokojnie poradzić i zarabiać dwa razy tyle, ile jestem w stanie mu zapłacić. Ale skoro mu u mnie dobrze, to po co mu podpowiadać?

— Rzeczywiście. Ma pan, zdaje się, wielkie szczęście, zatrudniając tak znakomitego pracownika poniżej stawki rynkowej. Nieczęsto się to zdarza pracodawcom w naszych czasach. Nie wiem, czy pański pomocnik nie jest równie niezwykle jak to pańskie ogłoszenie.

— Ach, naturalnie, ma też swoje wady — przerwał Wilson. — Nigdy nie spotkałem człowieka, który byłby tak zafascynowany fotografią. Zamiast się szkolić, pstryka aparatem, a potem daje nura do piwnicy jak królik do nory i wywołuje zdjęcia. To jego główna wada, ale ogólnie to doskonały pracownik. Nie ma żadnych nałogów.

— Nadal jest u pana, jak sądzę?

— Tak. On i czternastoletnia dziewczyna, która gotuje i sprząta. To wszyscy mieszkańcy mojego domu. Jestem wdowcem i nigdy nie miałem rodziny. Żyjemy sobie spokojnie we trójkę, proszę pana, staramy się zachować dach nad głową i płacić nasze zobowiązania, skoro nie udaje się więcej. Pierwszą rzeczą, która wytrąciła nas z równowagi, było to ogłoszenie. Równo osiem tygodni temu Spaulding wszedł do biura z tą gazetą w ręce i mówi:

„Jaka szkoda, panie Wilson, że nie jestem rudy”.

„Dlaczego?” — pytam.

„Dlaczego? — odpowiada. — Dlatego, że zwolniła się znakomita posada w Klubie Rudowłosych. Przyniesie ładną sumkę temu, kto ją dostanie. Zdaje mi się, że mają tam więcej miejsc niż ludzi, którzy by je obsadzili, więc powiernicy sami nie wiedzą, co robić z pieniędzmi. Gdyby tylko moje włosy zmieniły kolor, to mógłbym teraz używać życia jak robak w serze”.

„O co tu chodzi?” — spytałem.

Widzi pan, panie Holmes, jestem domatorem, a ponieważ moi interesanci przychodzą do mnie, a nie ja do nich, to często przez całe tygodnie nie wystawiam nosa za próg. Niezbyt wiedziałem, co się dzieje na świecie, i z przyjemnością słuchałem nowin.

⁶*funt szterling* — angielska jednostka monetarna; dawniej funt dzielił się na 20 szylingów po 12 pensów każdy. [przypis edytorski]

⁷*Fleet Street* — ulica w centrum Londynu (City), ok. 5 km na zach. od Baker Street. [przypis edytorski]

⁸*Morning Chronicle* — gazeta londyńska zał. w 1769, wydawana do 1862, na krótko wznowiona w 1864–1865. [przypis edytorski]

„Nigdy nie słyszał pan o Klubie Rudowłosych?” — spytał, wytrzeszczając oczy.

„Nigdy”.

„Coś takiego! Aż dziwne, bo to posada w sam raz dla pana”.

„A ile jest warta?” — zapytałem.

„Och, tylko paręset funtów rocznie, ale praca prawie żadna i nie zawadza w innych zajęciach”.

Może pan sobie łatwo wyobrazić, że na taką odpowiedź wyężyłem słuch. Interes od kilku lat szedł kiepsko, więc dodatkowe paręset funtów bardzo by się przydało.

„Opowiedz mi o tym wszystko, co wiesz” — rzekłem przeto do Spauldinga.

„No cóż — odparł, pokazując mi ogłoszenie. — Sam pan widzi, że Klub ma posadę do objęcia i że podano adres, pod który można się udać po szczegóły. Z tego co wiem, Klub został założony przez amerykańskiego milionera Ezechiasza Hopkinsa, który był wielkim oryginałem. Sam był rudy i darzył wielką sympatią wszystkich rudowłosych. Kiedy zmarł, okazało się, że swoją ogromną fortunę zostawił w rękach powierników z poleceniem, aby z odsetek finansować ciepłe posadki dla rudowłosych mężczyzn. Z tego, co słyszałem, te stanowiska są znakomicie płatne, a nie wymagają niemal żadnej pracy.

„Ale przecież na taką posadę zgłoszą się miliony chętnych!” — zawołałem.

„Nie tak wielu, jak pan myśli — odpowiedział — bo ogłoszenie skierowane jest tylko do dorosłych londyńczyków. Ten Amerykanin opuścił Londyn w bardzo młodym wieku, pamiętał go jednak ciągle i chciał się odwdziżyć staremu rodzinnemu miastu. Poza tym słyszałem, że nie ma sensu składać podania, jeśli ktoś ma włosy rudoblonde, kasztanowe lub w jakimkolwiek innym odcieniu niż naprawdę płomieniste, ognistorude. Gdyby pan chciał się zgłosić, panie Wilson, to z pewnością by pana przyjęli; ale może nie warto się fatygować po paręset funtów”.

— Jak panowie widzą — ciągnął dalej Wilson — moje włosy mają bardzo żywy ognisty odcień, więc wydawało mi się, że gdyby doszło do współzawodnictwa, miałbym spore szanse. Vincent Spaulding wydawał się tak dobrze poinformowany, że pomyślałem, iż może mi się przydać. Kazałem mu zasunąć okiennice na resztę dnia i iść ze mną. Bardzo się ucieszył z wolnego, więc zamknęliśmy interes i poszliśmy pod adres podany w ogłoszeniu. Jak żyję, nie widziałem niczego podobnego, panie Holmes. Z północy i z południa, ze wschodu i z zachodu ciągnęły do City tłumy ludzi, którzy mieli we włosach choćby odcień rudego koloru. Cała ulica zatłoczona była rudowłosymi, a Pope's Court wyglądał jak stragan z pomarańczami. Nie sądziłem, że w całym kraju jest aż tylu rudowłosych, ilu zebrało się po tym jednym ogłoszeniu. Ich włosy miały wszelkie odcienie: słomkowy, cytrynowy, pomarańczowy, ceglasty, maści setera irlandzkiego, wątróbki i gliny. Ale tak, jak mówił Spaulding, niewielu miało naprawdę ognistorude włosy. Kiedy zobaczyłem, ilu ich czeka, załamałem się i chciałem dać za wygraną, ale Spaulding nawet nie chciał o tym słyszeć. Nie wiem, jak tego dokonał, ale przeciskał się, rozpychał łokciami i parł naprzód, aż przeprowadził mnie przez tłum i znaleźliśmy się na schodach prowadzących do biura. Po schodach wchodził ludźmi pełni nadziei, schodzili zaś smutni i rozczarowani. Przecisnęliśmy się do przodu i wreszcie dostaliśmy się do wnętrza.

— To doprawdy bardzo zajmujące — zauważył Holmes, gdy jego klient przerwał na chwilę i odświeżał sobie pamięć wielką szczyptą tabaki. — Proszę, niech pan mówi dalej.

— W biurze nie było niczego poza paroma drewnianymi krzesłami i prostym sosnowym stołem, za którym siedział mały człowieczek o włosach jeszcze bardziej jaskrawych niż moje. Zamieniał kilka słów z każdym podchodzącym do niego kandydatem, ale u każdego znajdował jakąś wadę, która go dyskwalifikowała. Otrzymanie posady nie wydawało się wcale takie łatwe. Kiedy jednak nadeszła kolej na nas, człowieczek okazał mi większą przychyłność niż poprzednim kandydatom. Gdy weszliśmy, podeszedł do drzwi i zamknął je, żeby pomówić z nami na osobności.

„To jest pan Jabez Wilson — powiedział mój pomocnik. — Chciałby objąć posadę w Klubie”.

„I znakomicie się do niej nadaje — odparł mały człowieczek. — Spełnia wszystkie wymagania. Nie pamiętam, żebym widział kiedyś tak doskonały odcień rudych włosów”.

Cofnął się o krok, ażeby przyjrzeć mi się bliżej pod światło, spoglądał z prawej strony, to znów z lewej, i badał moje włosy tak uważnie, że aż mnie to krępowało. Wreszcie niespodziewanie rzucił się naprzód, uściśnął mi dłoń i serdecznie pogratulował sukcesu:

„Byłoby jawną niesprawiedliwością wahać się choćby chwilę, proszę jednak wybaczyć, że muszę podjąć pewne środki ostrożności”.

Mówiąc to, znienacka obiema rękami złapał mnie za włosy i szarpnął tak mocno, aż krzyknąłem z bólu.

„Ma pan oczy pełne łez — rzekł, puszczać mnie — zatem wszystko jest tak, jak być powinno. Rozumie pan, musimy zachować ostrożność, bo już dwa razy oszukano nas za pomocą peruki, a raz farbowanymi włosami. Mógłbym też opowiedzieć panu takie historie o smole szewskiej, że wzbudziłyby w panu wstręt do natury ludzkiej”.

Podszedł do okna i krzyknął na cały głos, że miejsce zostało już obsadzone. Z dołu dobiegł jęk rozczarowania i ludzie zaczęli się rozchodzić w różne strony. Po chwili nie było widać ani jednej rudej głowy poza moją i mojego rozmówcy.

„Nazywam się Duncan Ross — przedstawił się — i sam jestem jednym z beneficjentów funduszu założonego przez naszego szlachetnego ofiarodawcę. Czy pan jest żonaty, panie Wilson? Czy pan ma rodzinę?”

Kiedy zaprzeczyłem, twarz pana Duncana Rossa dziwnie się wydłużyła:

„Ach, mój Boże! — powiedział poważnym głosem. — To bardzo niedobrze. Przykro mi to słyszeć, fundusz bowiem ma za zadanie nie tylko wspierać ludzi rudowłosych, ale i powiększać ich liczbę na świecie. To bardzo niefortunne, że jest pan kawalerem”.

— Mina mi rzredła, panie Holmes, bo byłem przekonany, że nie dostanę tej posady. Ale po paru minutach namysłu Ross stwierdził, że wszystko będzie dobrze.

„W każdym innym przypadku ta okoliczność bezwzględnie wykluczałaby kandydata, ale dla człowieka z taką czupryną jak pańska musimy zrobić wyjątek. Od kiedy mógłby pan objąć swoje nowe obowiązki?”

„Cóż, to trochę niezręczna sytuacja, bo prowadzę już własny interes”.

„Ależ niech się pan tym nie martwi, panie Wilson! — zawołał Vincent Spaulding. — Mogę się nim zająć”.

„Jakie są godziny pracy?”

„Od dziesiątej do drugiej”.

— Powinienem panu wyjaśnić, panie Holmes, że w lombardzie interesy załatwia się głównie wieczorem, zwłaszcza w czwartki i piątki, czyli przed dniem wypłaty, więc bardzo mi odpowiadało dorobić sobie trochę w godzinach porannych. Poza tym wiedziałem, że mój pomocnik to dobry człowiek i zajmie się wszystkim, kiedy będzie trzeba.

„Bardzo mi to odpowiada — powiedziałem. — A jakie wynagrodzenie?”

„Cztery funty tygodniowo”.

„A praca?”

„Jest czysto symboliczna”.

„Co pan przez to rozumie?”

„Cóż, przez cały czas musi pan być w biurze albo przynajmniej w budynku. Jeśli pan wyjdzie, straci pan posadę na zawsze. Testament określa to bardzo ściśle. Jeśli opuści pan biuro w godzinach pracy, nie dotrzyma pan warunków”.

„To tylko cztery godziny dziennie i ani myślę wychodzić” — odparłem.

„Nie pomoże żadne usprawiedliwienie — powiedział Duncan Ross — ani choroba, ani interesy, ani nic innego. Musi pan być na miejscu albo straci pan stanowisko”.

„A na czym polega praca?”

„Na przepisywaniu *Encyclopedia Britannica*⁹. Pierwszy tom znajdzie pan tutaj, w tej szafce. Zaopatrz się pan we własny atrament, pióra, papier i bibułę, a my zapewniamy ten stół i krzesło. Czy może pan rozpocząć pracę jutro?”

„Naturalnie” — odparłem.

„Zatem do widzenia, panie Wilson, i jeszcze raz gratuluję znakomitej posady, którą miał pan szczęście zdobyć”.

W ukłonach odprowadził mnie do drzwi. Gdy wracaliśmy do domu z moim pomocnikiem, nie wiedziałem, co mówić ani co robić, tak byłem uradowany tym uśmiechem losu.

⁹*Encyclopedia Britannica* — renomowana brytyjska encyklopedia powszechna; jej 9. wydanie, z lat 1875–1889, liczyło 25 tomów; od 2016 publikowana wyłącznie on-line. [przypis edytorski]

Rozmyślałem o tym wszystkim przez cały dzień, ale pod wieczór humor znów mi się popsuł. Nabrałem przekonania, że cała ta sprawa to jakaś wielka mistyfikacja albo oszustwo, chociaż nie potrafiłem sobie wyobrazić, co taka intryga miałaby mieć na celu. Wydawało mi się zupełnie nieprawdopodobne, żeby ktoś sporządził tego rodzaju testament albo żeby płacił taką sumę za coś tak prostego jak przepisywanie encyklopedii. Vincent Spaulding robił, co mógł, ażeby mnie podnieść na duchu, ale zanim położyłem się spać, byłem już zdecydowany wycofać się z tego wszystkiego. Rano jednak postanowiłem spróbować, kupiłem więc butelkę atramentu za pensa¹⁰, wziąłem gęsie pióro i siedem arkuszy papieru i skierowałem się w stronę Pope's Court.

Cóż, ku mojemu zaskoczeniu i radości, wszystko było tak, jak ustalone. Stół był gotowy, a Duncan Ross czekał na mnie, żeby upewnić się, czy solidnie zabiorę się do pracy. Poleciał mi rozpocząć od litery „A”, po czym wyszedł, ale od czasu do czasu wpadał, aby sprawdzić, czy wszystko w porządku. O drugiej pożegnał się ze mną, pochwalił za szybkość przepisywania i zamknął za mną drzwi biura.

— Powtarzało się to dzień po dniu, panie Holmes, a w sobotę kierownik biura przyszedł i położył przede mną cztery złote suwereny¹¹, zapłatę za moją tygodniową pracę. Tak było w następnym tygodniu i tak samo tydzień później. Codziennie przychodziłem do pracy o dziesiątej rano i wychodziłem o drugiej po południu. Stopniowo pan Ross zjawiał się coraz rzadziej, zaglądał tylko raz dziennie, rano, a później w ogóle nie pokazywał się w biurze. Mimo to, oczywiście, nigdy nie odważyłem się opuścić pokoju nawet na chwilę, bo nie byłem pewien, kiedy przyjdzie, a posada była tak dobra i tak mi odpowiadała, że nie chciałem ryzykować jej utraty.

Minęło w ten sposób osiem tygodni. Przepisałem artykuły o architekturze, artylerii i atyce i miałem nadzieję, że jeśli się przyłożę, to niedługo dotrę do „B”. Sporo wydałem na papier, a tym, co pisałem, zapełniłem już prawie całą półkę. I wtedy nagle wszystko się skończyło.

— Skończyło? — zapytał Holmes.

— Tak, proszę pana. Nie dalej jak dziś rano. Przyszedłem do pracy jak zwykle o dziesiątej, ale zastałem biuro zamknięte na klucz, a do drzwi była przybita pinezką mała karteczka. Oto ona, możecie, panowie, sami przeczytać.

Podał nam kawałek sztywnego białego papieru wielkości kartki z notatnika. Napis na nim brzmiał:

KLUB RUDOWŁOSYCH ZOSTAJE ROZWIĄZANY

9 października 1890

Przyglądaliśmy się z Holmesem temu krótkiemu oświadczeniu i żalosnej minie naszego klienta tak długo, aż komiczna strona sprawy przesłoniła wszystko inne, i obaj wybuchnęliśmy głośnym śmiechem.

— Nie widzę w tym nic śmiesznego! — zawołał Wilson, czerwieniąc się aż po cebulki płomiennorudych włosów. — Jeżeli nie potraficie, panowie, zrobić nic więcej niż tylko śmiać się ze mnie, to pójdę gdzie indziej.

— Nie, nie! — krzyknął Holmes, popychając go z powrotem na krzesło. — Za żadne skarby świata nie zrezygnowałbym z pańskiej sprawy! Jest tak orzeźwiająco niezwykła. Ale, wybaczy pan, ma w sobie coś zabawnego. A teraz proszę mi powiedzieć, co pan zrobił po znalezieniu tej kartki na drzwiach?

— Byłem wstrząśnięty, proszę pana. Nie wiedziałem, co robić. Potem zacząłem chodzić po okolicznych biurach, rozpytywałem na prawo i lewo, ale nikt niczego nie wiedział. W końcu poszedłem do właściciela domu, księgowego, który mieszka na parterze. Spytałem go, czy wie, co się stało z Klubem Rudowłosych. Powiedział, że nigdy nie słyszał o takim stowarzyszeniu. Wtedy zapytałem go o pana Duncana Rossa. Odpowiedział, że pierwszy raz słyszy to nazwisko.

„Chodzi mi o tego pana spod numeru cztery”.

„Tego rudego?”

¹⁰pens — drobna moneta brytyjska; dawniej brytyjski funt szterling był równy 20 szylingów, zaś szyling dzielił się na 12 pensów. [przypis edytorski]

¹¹suweren — angielska złota moneta o wartości jednego funta. [przypis edytorski]

„Tak”.

„Aaa, on się nazywa William Morris. Jest prawnikiem. Wynajmował u mnie pokój tymczasowo, dopóki jego nowe biuro nie będzie gotowe. Wczoraj się wyprowadził”.

„Gdzie mógłbym go znaleźć?”

„W jego nowym biurze. Zostawił mi adres: King Edward Street 17, niedaleko katedry św. Pawła¹²”.

Natychmiast ruszyłem w drogę, ale pod wskazanym adresem była wytwórnia protez i nikt tam nigdy nie słyszał ani o Williamie Morrisie, ani o Duncanie Rossie.

— I co pan wtedy zrobił? — zapytał Holmes.

— Wróciłem do siebie na Saxe-Coburg Square i zwróciłem się o radę do mego pomocnika. Nie potrafił mi pomóc, powiedział tylko, że jeśli cierpliwie poczekam, zapewne otrzymam wiadomość pocztą. Wcale mi to nie wystarczało, panie Holmes. Nie chciałem stracić takiej posady bez walki. Ponieważ zaś słyszałem, że jest pan tak uprzejmy, że udziela pan rad biednym ludziom, którzy ich potrzebują, przyszedłem więc prosto do pana.

— I dobrze pan zrobił — rzekł Holmes. — Pańska historia jest naprawdę godna uwagi i z przyjemnością zajmę się rozwiązaniem tej zagadki. Z tego, co mi pan opowiedział, wnioskuję, że ta sprawa może być poważniejsza w skutkach, niż to się na pierwszy rzut oka wydaje.

— Już jest poważna! — zawołał Wilson. — Przecież straciłem cztery funty tygodniowo.

— Jeśli chodzi o pana — zauważył Holmes — to nie wydaje mi się, żeby miał pan powód do niezadowolenia ze swoich stosunków z tym dziwnym klubem. Wręcz przeciwnie. O ile dobrze rozumiem, wzbogacił się pan o jakieś trzydzieści funtów, nie licząc już nawet tego, że zdobył pan szczegółową wiedzę o wszystkim, co się zaczyna w encyklopedii na literę „A”. Nic pan przez tych ludzi nie stracił.

— Nie, proszę pana. Ale chcę się dowiedzieć, kim oni są i dlaczego mi zrobili ten żart, jeśli to faktycznie był żart. Zabawa sporo ich kosztowała, wydali trzydzieści dwa funty gotówką.

— Dołożę starań, żeby to wyjaśnić. Najpierw jednak, panie Wilson, zadam panu jeszcze parę pytań. Ten pański pomocnik, który zwrócił pańską uwagę na ogłoszenie, od jak dawna pracował u pana?

— Mniej więcej od miesiąca.

— Jak do pana trafił?

— Z ogłoszenia.

— Czy tylko on się zgłosił?

— Nie, miałem tuzin chętnych.

— Dlaczego wybrał pan akurat jego?

— Bo był zmyślny i nie żądał wiele.

— Zgodził się na połowę stawki, prawda?

— Tak.

— Jak wygląda Vincent Spaulding?

— Jest niski, silny, ruchliwy. Nie ma zarostu, chociaż niewiele mu brakuje do trzydziestki. Na czole ma białą plamę od oparzenia kwasem.

Holmes, wyraźnie podekscytowany, wyprostował się w fotelu.

— Tak właśnie myślałem — powiedział. — Czy zauważył pan może, czy przekłute uszy?

— Rzeczywiście. Powiedział mi, że Cyganka mu przekłuła, kiedy był młody.

— Hm! — mruknął Holmes, zamyślając się znowu. — Wciąż u pana pracuje?

— O tak, dopiero co się z nim widziałem.

— A czy dobrze zajmował się interesem pod pana nieobecność?

— Nie mogę narzekać. Zresztą rano nigdy nie ma zbyt wiele do roboty.

— To wszystko, panie Wilson. Z przyjemnością przekażę panu swój pogląd na sprawę za dzień czy dwa. Dziś sobota, mam nadzieję, że do poniedziałku uda się rozwiązać tę zagadkę.

¹²katedra św. Pawła w Londynie — jedna z najbardziej charakterystycznych budowli Londynu; wzniesiona w stylu barokowo-klasycystycznym, na planie krzyża, zwieńczona monumentalną kopułą. [przypis edytorski]

— I cóż, Watsonie? — zapytał Holmes po wyjściu naszego gościa. — Co o tym wszystkim myślisz?

— Zupełnie nic — odpowiedziałem szczerze. — Dla mnie to całkiem tajemnicza historia.

— Z reguły im coś jest dziwniejsze, tym okazuje się mniej tajemnicze, niż się początkowo zdawało — objaśnił Holmes. — To zwyczajne, pospolite zbrodnie, bez żadnych cech szczególnych, są najbardziej zagadkowe, tak jak twarz o zwykłym, pospolitym wyglądzie jest najtrudniejsza do rozpoznania. Ale w tej sprawie trzeba działać szybko.

— Co zamierzasz zrobić? — zapytałem.

— Zapalić — odparł krótko. — To problem na trzy fajki i bardzo cię proszę, żebyś przez pięćdziesiąt minut nic do mnie nie mówił.

Skulił się w fotelu, podciągnął kolana aż po swój jastrzębi nos i zamknął oczy. Czarna gliniana fajka wystawała mu z ust niczym dziób jakiegoś dziwnego ptaka. Uznałem, że zasnął, i sam zaczynałem już przysypiać, gdy nagle zerwał się z fotela z miną człowieka, który właśnie podjął decyzję. Odłożył fajkę na kominek.

— Dziś po południu w St. James's Hall¹³ gra Sarasate¹⁴ — rzekł Holmes. — Co o tym myślisz, Watsonie? Czy twoi pacjenci obejdą się bez ciebie przez kilka godzin?

— Nie mam dzisiaj nic do roboty. Moja praktyka nigdy nie zajmuje zbyt wiele czasu.

— W takim razie włóż kapelusz i chodź. Pójdziemy przez City i zjemy po drodze lunch. Zauważyłem, że w programie jest dużo muzyki niemieckiej, która odpowiada mi bardziej niż włoska czy francuska. Skłania do głębokich rozmyślań, a właśnie zamierzam zagłębić się w rozmyślaniach. Chodźmy.

Pojechaliśmy metrem aż do Aldersgate¹⁵ i po krótkim spacerze dotarliśmy do Saxe-Coburg Square, gdzie rozpoczęła się osobliwa historia, której wysłuchaliśmy rano. Był to niewielki, nędzny plac, który być może pamiętał lepsze czasy. Fasady ponurych dwupiętrowych domów z cegły okalających plac wychodziły na mały, ogrodzony skwer, na którym zachwaszczony trawnik i kilka kęp usychających krzaczków wawrzynu toczyło ciężką walkę o przetrwanie w zadymionym powietrzu. Na narożnym domu widniały trzy pozłacane kule i brązowa tablica z białym napisem „JABEZ WILSON”, wskazując miejsce, w którym nasz rudowłosy klient prowadził swój interes. Sherlock Holmes zatrzymał się przed budynkiem, przechylił głowę na bok i uważnie mu się przyglądał, a jego oczy błyszczały spod przymkniętych powiek. Potem poszedł powoli dalej ulicą, a następnie zawrócił, cały czas uważnie przyglądając się domom. W końcu powrócił przed lombard, dwa czy trzy razy stuknął mocno łaską w chodnik, podszedł do drzwi i zapukał. Natychmiast otworzył mu gładko ogolony młody człowiek o bystrej twarzy i zaprosił do środka.

— Dziękuję — powiedział Holmes. — Chciałem tylko zapytać, jak dojść stąd na Strand¹⁶?

— Trzecia ulica w prawo, czwarta w lewo — odpowiedział natychmiast pomocnik Wilsona i zamknął drzwi.

— Bystry człowiek — zauważył Holmes, kiedy odchodziliśmy. — Moim zdaniem, czwarty największy spryciarz w Londynie, a uwzględniając śmiałość, być może i trzeci. Słyszałem już o nim trochę.

— To oczywiście — odrzekłem — że pomocnik Wilsona odgrywa ważną rolę w gadce Klubu Rudowłosych. Jestem pewien, że spytałeś go o drogę tylko po to, żeby mu się przyjrzeć.

— Nie jemu.

— A czemu w takim razie?

— Jego spodniom w okolicy kolan.

— I co zobaczyłeś?

— To, czego się spodziewałem.

¹³St. James's Hall — dawna sala koncertowa w Londynie; otwarta w 1858, zamknięta i zburzona w 1905. [przypis edytorski]

¹⁴Sarasate, Pablo (1844–1908) — hiszpański skrzypek i kompozytor. [przypis edytorski]

¹⁵Aldersgate — dawna nazwa londyńskiej stacji metra Barbican, pochodząca od pobliskiej ulicy Aldersgate Street. [przypis edytorski]

¹⁶Strand — ulica w środkowej części Londynu, główna arteria łącząca City of Westminster z City of London. [przypis edytorski]

— Dlaczego stukałeś laską w chodnik?

— Drogi doktorze, to czas na obserwację, a nie na rozmowę. Jesteśmy szpiegami na terytorium wroga. Poznaliśmy już Saxe-Coburg Square. Teraz przyjrzyjmy się okolicy.

Ulica, przy której się znaleźliśmy po opuszczeniu ustronnego placu Saxe-Coburg różniła się od niego tak bardzo jak przód obrazu od jego tylnej części. Była to jedna z głównych arterii komunikacyjnych City, przez którą ruch kierował się na północ i dalej na zachód. Jezdnię wypełniał strumień pojazdów podążających w obu kierunkach, a na chodnikach spieszący się tłum pieszych roił się jak mrówki. Patrząc na te eleganckie sklepy i okazałe biura, trudno było sobie wyobrazić, że na ich tyłach znajduje się bezbarwny, zapomniany plac, który przed chwilą opuściliśmy.

— Przyjrzyjmy się — rzekł Holmes, stając na rogu i spoglądając wzdłuż ulicy. — Chciałbym dobrze zapamiętać kolejność budynków. Zaznajamianie się z Londynem od podszewki to mój konik. Zaraz na początku mamy trafikę¹⁷ Mortimer's, potem sklepik z gazetami, oddział banku City and Suburban, restaurację wegetariańską i powozownię McFarlane'a. A dalej już przecznica. Cóż, doktorze, zakończyliśmy pracę, teraz należy nam się trochę wypoczynku i rozrywki. Chodźmy na kanapkę i filiżankę kawy. Potem przeniesiemy się w krainę skrzypiec, gdzie panują słodycz, delikatność i harmonia i nie ma rudowłosych klientów naprzykrzających się ze swoimi łamigłówkami.

Mój przyjaciel uwielbiał muzykę i nie tylko sam doskonale grał, ale był znakomitym kompozytorem. Przez całe popołudnie siedział na widowni, pogrążony w zachwycie, łagodnie poruszając w rytm muzyki swymi długimi, szczupłymi palcami. Jego łagodnie uśmiechnięta twarz i jego senne, rozmarzone oczy były zupełnie niepodobne do oczu Holmesa tropiciela zbrodni, nieustępliwego, przenikliwego, zawsze gotowego do działania detektywa. W tym osobliwym człowieku na przemian brały górę dwie różne strony jego natury, a jego skrajna skrupulatność i wnikliwość były, jak mi się często zdawało, reakcją na poetycki, refleksyjny nastrój, który niekiedy go ogarniał. Wahadłowy ruch jego natury przerzucał go ze stanu skrajnej ospałości do kipiącej energii, a dobrze wiedziałem, że nigdy nie był tak groźny, jak wtedy gdy całymi dniami przesiadywał w fotelu i oddawał się swoim improwizacjom muzycznym albo zatapiał się w starych książkach, drukowanych gotyką czcionką. Po takich spokojnych dniach nagle ogarniała go żądza polowania, jego błyskotliwe rozumowanie wznosiło się na poziom intuicji, aż ci, którzy nie byli obeznani z jego metodami, patrzyli na niego z ukosa jak na człowieka, który posiadał nadludzką wiedzę. Kiedy zobaczyłem go tego popołudnia w St. James's Hall, tak całkowicie pochłoniętego muzyką, poczułem, że nadchodzą ciężkie chwile dla tych, których ściga.

— Zapewne teraz chcesz wrócić do domu, doktorze — stwierdził, kiedy wyszliśmy.

— Owszem.

— Ja mam jeszcze trochę do załatwienia. Zajmie mi to kilka godzin. Ta historia na Coburg Square to poważna sprawa.

— Dlaczego poważna?

— Myślę, że wiąże się z poważnym przestępstwem. Mam wszelkie powody sądzić, że zdążymy je udaremnić. Ale dziś sobota, a to komplikuje sprawę. Wieczorem będę potrzebował twojej pomocy.

— O której?

— Wystarczy, jeśli będziesz o dziesiątej.

— Zatem przyjdę na Baker Street na dziesiątą.

— Doskonale. I jeszcze jedno, doktorze. Może być trochę niebezpiecznie, więc bądź tak dobry i weź ze sobą swój rewolwer.

Skinął mi dłonią na pożegnanie, odwrócił się na pięcie i zniknął w tłumie.

Nie wydaje mi się, żebym był bardziej tępy od blźnich, ale w kontaktach z Sherlockiem Holmesem zawsze przytłaczało mnie poczucie własnej głupoty. Tu także widziałem i słyszałem to samo, co on, a jednak z jego słów jasno wynikało, że wie nie tylko, co się wydarzyło, ale i to, co ma nastąpić, podczas gdy dla mnie cała ta sprawa wciąż była zagma-

Miasto

Muzyka

¹⁷ *trafika* (daw.) — sklep z wyrobami tytoniowymi. [przypis edytorski]

twana i groteskowa. Wracając do swojego mieszkania w Kensington¹⁸, przemyśliwałem wszystko raz jeszcze, od niezwyklej historii rudowłosego kopisty encyklopedii do wizyty na placu Saxe-Coburg i złowróżbnych słów, którymi mój przyjaciel się ze mną pożegnał. O co chodzi w tej nocnej wyprawie i dlaczego miałem przyjść uzbrojony? Dokąd mieliśmy się udać i co robić? Holmes dał mi do zrozumienia, że ten gładkolicy pomocnik z lombardu to niebezpieczny człowiek, który prowadzi jakąś grę. Próbowałem rozplątać tę łamigłówkę, ale do niczego nie mogłem dojść, więc dałem spokój i postanowiłem zaczekać, aż w nocy wszystko się wyjaśni.

Był kwadrans po dziewiątej, gdy wyszedłem z domu, przeszedłem przez Park¹⁹ i dalej przez Oxford Street na Baker Street. Przed drzwiami stały dwie dorożki, a gdy znalazłem się w korytarzu, usłyszałem dobiegające z góry głosy kilku osób. W pokoju zastałem Holmesa pograżonego w ożywionej rozmowie z dwoma mężczyznami. W jednym z nich rozpoznałem Petera Jonesa, agenta policji. Drugi, wysoki, szczupły mężczyzna o smutnej twarzy, miał lśniący cylinder i przytłaczająco nienaganny surdut.

— No, teraz jesteśmy w komplecie! — zawołał Holmes, zapinając kurtkę i biorąc ze stojaka swoją szpicrutę. — Watsonie, znasz pana Jonesa ze Scotland Yardu? Pozwól, że przedstawię ci pana Merryweathera, który będzie nam towarzyszył w dzisiejszej wyprawie.

— Jak pan widzi, doktorze, znów polujemy parami — wtrącił Jones z typową dla siebie wyższością. — Nasz przyjaciel znakomicie wszczyna pościg, potrzebuje tylko starego psa, który nagoni mu zwierzynę.

— Obyśmy nie gonili za wiatrem w polu — odparł ponuro Merryweather.

— Może pan w pełni ufać panu Holmesowi — rzekł wyniośle policjant. — Ma swoje własne metody, które, bez urazy, wydają mi się zanadto teoretyczne i dziwaczne, ale ma zadatki na detektywa. Nie będzie przesadą, jeśli powiem, że raz czy dwa, na przykład w sprawie morderstwa Sholto i skarbu Agry²⁰, był bliżej prawdy niż policja.

— Och, jeśli pan tak twierdzi, panie Jones, to w porządku — odparł z szacunkiem nieznajomy. — Muszę jednak przyznać, że żał mi mojej partyjki. Po raz pierwszy od dwudziestu siedmiu lat opuszczę sobotniego wista²¹.

— Zdaje mi się — wtrącił Holmes — że dzisiejszej nocy będzie pan grał o wyższą stawkę, niż się to panu kiedykolwiek zdarzyło, a gra będzie bardziej ekscytująca. Dla pana, panie Merryweather, stawka wynosi około trzydziestu tysięcy funtów, a dla pana, panie Jones, nagrodą będzie człowiek, którego chce pan dostać w swoje ręce.

— John Clay, morderca, złodziej, oszust, fałszerz — stwierdził Jones. — To młody człowiek, panie Merryweather, ale jest mistrzem w swoim fachu i nie ma w Londynie przestępcy, którego bardziej chciałbym zakuć w kajdanki. To niepospolity człowiek. Jego dziadek był księciem krwi, a on sam uczęszczał do Eton²² i Oksfordu²³. Ma umysł równie przebiegły jak palce i chociaż na każdym kroku napotykamy jego ślady, nigdy nie wiemy, gdzie go znaleźć. Jednego tygodnia dokonuje włamań w Szkocji, a w następnym wyludza pieniądze na budowę sierocińca w Kornwalii. Tropię go od lat, a jeszcze nigdy go nie widziałem.

— Mam nadzieję, że dziś będę miał przyjemność go panu przedstawić. Parę razy miałem do czynienia z wyczynami Johna Claya i zgadzam się, że przoduje w swojej profesji. Ale już po dziesiątej, najwyższy czas ruszać w drogę. Wsiądźcie, panowie, do pierwszej dorożki, a ja z Watsonem pojedziemy za wami drugą.

¹⁸Kensington — dzielnica w środkowej części Londynu, znana m.in. z położonego w jej płn.-wsch. części publicznego parku królewskiego (Kensington Gardens), graniczącego ze słynnym Hyde Parkiem. [przypis edytorski]

¹⁹Park — tu: Hyde Park, jeden z publicznych parków królewskich w Londynie. [przypis edytorski]

²⁰w sprawie morderstwa Sholto i skarbu Agry — w powieści Arthura Conana Doyle'a *Znak Czterech*, z cyklu przegód Sherlocka Holmesa. [przypis edytorski]

²¹wist — gra karciana dla czterech osób, popularna w XVIII i XIX w., poprzednik brydża. [przypis edytorski]

²²Eton — angielskie miasteczko nad Tamizą, na zachód od Londynu; znane głównie jako siedziba Eton College, elitarniej internatowej szkoły męskiej. [przypis edytorski]

²³Oksford — angielskie miasto nad Tamizą; znane głównie jako siedziba Uniwersytetu Oksfordzkiego, najstarszego uniwersytetu w Wielkiej Brytanii i krajach anglojęzycznych. [przypis edytorski]

Sherlock Holmes nie był zbyt rozmowny podczas długiej jazdy. Leżał na siedzeniu i nucił melodie, które usłyszał po południu. Przejechaliśmy przez niekończący się labirynt ulic, oświetlonych gazowymi latarniami, aż znaleźliśmy się na Farringdon Street²⁴.

— Jesteśmy już prawie u celu podróży — rzekł nareszcie Holmes. — Merryweather jest dyrektorem banku i osobiście interesuje się tą sprawą. Pomyślałem, że dobrze byłoby zabrać ze sobą także Jonesa. To zacny człowiek, chociaż bez pojęcia o swoim zawodzie. Ma jednak zasadniczą zaletę: jest odważny jak buldog i nieustępliwy jak rak, kiedy kogoś chwyci w swoje szczypce. Jesteśmy na miejscu, już na nas czekają.

Dotarliśmy do tej samej ruchliwej ulicy, na której byliśmy rano. Odesłaliśmy dorożki i poszliśmy za panem Merryweatherem jakimś wąskim przejściem, a potem przez boczne drzwiczki, które nam otworzył. Dalej był mały korytarzyk, który kończył się masywnymi żelaznymi drzwiami. Otworzył je również i zeszliśmy w dół po krętych kamiennych schodach, na których końcu znajdowały się kolejne żelazne drzwi. Tu pan Merryweather zatrzymał się, aby zapalić latarnię, a potem poprowadził nas ciemnym, pachnącym ziemią korytarzem. Wreszcie, po otwarciu kolejnych ciężkich drzwi, wprowadził nas do ogromnej piwnicy, czy raczej skarbcza, wypełnionego skrzyniami i masywnymi pudłami.

— Od góry jesteście zabezpieczeni — powiedział Holmes, unosząc latarnię i rozglądając się dokoła.

— Od dołu też — odparł Merryweather, uderzając laską o jedną z kamiennych płyt podłogi. — Boże drogi, wydaje pusty dźwięk! — wykrzyknął ze zdumieniem.

— Muszę pana prosić, żeby zachowywał się pan ciszej — powiedział Holmes surowo. — Już zdążył pan narazić na szwank powodzenie naszej wyprawy. Prosiłbym uprzejmie, żeby był pan łaskaw usiąść na jednej z tych skrzyń i nie przeszkadzać.

Merryweather z poważną i bardzo urażoną miną usiadł na jednej ze skrzyń, a Holmes ukląkł na podłodze i przyświecając sobie latarnią, zaczął przez lupę uważnie oglądać spójnienia pomiędzy płytami podłogi. Wystarczyło mu kilka sekund, po czym podniósł się i wsunął lupę do kieszeni.

— Mamy co najmniej godzinę — oznajmił — bo muszą poczekać, aż poczciwy właściciel lombardu spokojnie zaśnie. Później nie będą mieli chwili do stracenia, gdyż im szybciej zrobią swoje, tym więcej czasu będą mieli na ucieczkę. Jak się zapewne domyśliłeś, doktorze, znajdujemy się w skarbcu oddziału jednego z głównych londyńskich banków. Pan Merryweather, jego dyrektor, wyjaśni ci, dlaczego najzuchwalsi londyńscy przestępcy są teraz szczególnie zainteresowani tym skarbcem.

— Przechowujemy tu nasze francuskie złoto — wyszeptał dyrektor. — Mieliliśmy już szereg ostrzeżeń, że może dojść do próby jego kradzieży.

— Francuskie złoto?

— Tak. Kilka miesięcy temu potrzebowaliśmy zwiększyć nasze zasoby kruszcu i pożycziliśmy w tym celu trzydzieści tysięcy napoleonów²⁵ z Banku Francji. Rozeszła się wieść, że nie rozpakowaliśmy jeszcze tych pieniędzy i złoto leży nietknięte w naszych piwnicach. Skrzynia, na której siedzę, zawiera dwa tysiące napoleonów, poprzekładanych ołowianą folią. Mamy tu znacznie więcej złota, niż zwykle przechowuje się w jednym oddziale, i zarząd się niepokoi.

— Ma ku temu wszelkie powody — zauważył Holmes. — A teraz musimy przygotować plan działania. Spodziewam się, że sprawa rozstrzygnie się w ciągu godziny. Tymczasem, panie Merryweather, musimy zasłonić latarnię.

— I siedzieć po ciemku?

— Obawiam się, że tak. Przyniosłem ze sobą karty, bo myślałem, że skoro jest nas czterech, to może jednak będzie pan mógł zagrać w wista. Ale widzę, że nasz przeciwnik posunął swoje przygotowania tak daleko, iż nie możemy ryzykować pozostawiania zapalonego światła. Przede wszystkim musimy wybrać stanowiska. To zuchwali ludzie i chociaż mamy nad nimi przewagę, stanowią poważne zagrożenie, jeśli nie będziemy ostrożni. Ja się ukryję za tą skrzynią, a panowie schowajcie się za tamtymi. Kiedy skie-

²⁴*Farringdon Street* — ulica w centrum Londynu (City), ok. 4,3 km na zach. od Baker Street. [przypis edytorski]

²⁵*napoleon* (z fr. *Napoléon d'or*: złoty Napoleon) — złota moneta francuska o wartości 20 franków, bita za panowania Napoleona I i Napoleona III, z ich wizerunkiem. [przypis edytorski]

ruję na nich światło, rzućcie się na nich natychmiast. Gdyby zaczęli strzelać, Watsonie, zastrzel ich bez wahania.

Położyłem odbezpieczony rewolwer na drewnianej skrzyni i przykucnąłem za nią. Holmes zasunął przesłone latarni i zapadła całkowita ciemność, tak absolutna, jakiej nie zaznałem nigdy wcześniej. Pozostał tylko zapach rozgrzanego metalu, który upewniał nas, że lampa wciąż się pali i w każdej chwili może rozbłysnąć światłem. Miałem nerwy napięte jak postronki, przygrybiał mnie mrok i zimne, wilgotne powietrze w skarbcu.

— Mają tylko jedną drogę ucieczki — szepnął Holmes — z powrotem przez dom na Saxe-Coburg Square. Mam nadzieję, że zrobił pan, o co prosiłem, panie Jones?

— Przed drzwiami czeka inspektor i dwóch policjantów.

— Czyli obstawiliśmy wszystkie wyjścia. Teraz musimy być cicho i czekać.

Jakże się dłużył ten czas! Później okazało się, że czekaliśmy zaledwie godzinę i piętnaście minut, a wydawało mi się, że minęła cała noc i na zewnątrz zaczęło już świtać. Cały byłem obolały i zeszytywniały, gdyż obawiałem się poruszyć, nerwy miałem napięte do granic możliwości, a słuch tak wyostrzony, że nie tylko słyszałem przyciszone oddechy towarzyszy, ale byłem w stanie odróżnić głębszy, cięższy oddech potężnego Jonesa od westchnień dyrektora banku.

Ze swojego miejsca mogłem spoglądać ponad skrzynią w stronę podłogi. Nagle dostrzegłem błysk światła. Na początku była to tylko jasna iskierka na kamiennej posadzce. Potem zaczęła się wydłużać, aż zmieniła się w żółtą linię, a później bezszelestnie poszerzyła się niczym otwierająca się rana i pośrodku plamy światła ukazała się biała, niemal kobieca dłoń. Przez minutę albo dłużej wystawała ponad podłogę, badając ją ruchliwymi palcami. Następnie wycofała się równie nagle, jak się pojawiła, i znów wszystko pogrążyło się w ciemności. Pozostała jedynie iskierka zdradzająca szczelinę między kamiennymi płytami.

Dłoń zniknęła jednak tylko na chwilę. Rozległ się przenikliwy zgrzyt, jedna z szerokich białych płyt przesunęła się na bok, a na jej miejscu ukazał się głęboki kwadratowy otwór, przez który wpadało światło latarni. Nad brzegiem otworu pojawiła się gładka twarz mężczyzny o chłopięcych rysach, który badawczo rozejrzał się dokoła. Oparł dłonie po obu stronach otworu, podciągnął się na wysokość piersi, potem do pasa, aż wreszcie oparł kolano na brzegu. Po chwili stał już nad otworem i zaczął wciągać na górę swego towarzysza, równie gibkiego i drobnego jak on sam, o bladej twarzy i uderzająco rudych włosach.

— Wszystko w porządku — wyszeptał. — Czy masz dużo i worki? Do licha! Podskocz, Archie, podskocz, a ja cię wciągnę!

Sherlock Holmes wyskoczył z kryjówki i schwycił intruza za kołnierz. Drugi rzucił się w głąb dziury i usłyszałem dźwięk rozdieranego sukna, kiedy Jones schwycił go za ubranie. Światło błysnęło na lufie rewolweru, ale Holmes uderzył szpicrutą w nadgarstek mężczyzny, i broń upadła na podłogę.

— To na nic, Johnie Clay — powiedział Holmes łagodnie. — Nie masz żadnych szans.

— Widzę — odrzekł tamten zupełnie spokojnie. — Ale zdaje mi się, że mój kompan się wywinął, chociaż macie w swoich rękach połę jego surduta.

— Przed drzwiami czeka na niego trzech ludzi — uśmiechnął się Holmes.

— Och, doprawdy? Wygląda na to, że o wszystkim pan pomyślał. Muszę panu pogratulować.

— A ja panu — odparł Holmes. — Pański pomysł z rudymi włosami był nowatorski i nadzwyczaj skuteczny.

— Za chwilę zobaczysz swojego kompana — wtrącił Jones. — Jest szybszy w nurkowaniu do dziury ode mnie. Wyciągnij ręce, założę ci obręczki.

— Błagam, żeby mnie panowie nie dotykali swoimi brudnymi rękami — powiedział nasz więzień po tym, gdy skuto mu ręce. — Być może panowie o tym nie wiedzą, ale w moich żyłach płynie królewska krew. Proszę również, żeby panowie byli tak dobrzy i zwracając się do mnie, mówili zawsze „proszę pana”.

— W porządku — zaśmiał się Jones, obrzucając go szyderczym spojrzeniem — a zatem czy byłby pan łaskaw, proszę pana, pójść z nami na górę, żebyśmy mogli wziąć do ręki, która zawiezie Waszą Wysokość na posterunek policji?

— Tak lepiej — powiedział John Clay pogodnie, po czym zamasyżuje się przed nami uklonił i spokojnie poszedł z detektywem.

— Doprawdy, panie Holmes — rzekł Merryweather, kiedy wychodziliśmy za nimi z podziemi — nie wiem, jak nasz bank ma panu dziękować i jak mógłby się odwdziżyć. Bez wątpienia wykrył pan i całkowicie udaremnił jedną z najzuchwalszych prób obrabowania banku, o jakich kiedykolwiek słyszałem.

— Miałem swoje porachunki do wyrównania z panem Clayem — odparł Holmes. — Poniosłem w związku z tą sprawą pewne niewielkie wydatki i spodziewam się, że bank je pokryje, ale poza tą kwotą zostałem już hojnie wynagrodzony wyjątkowym przeżyciem i możliwością usłyszenia osobliwej historii o Klubie Rudowłosych.

— Widzisz, Watsonie — wyjaśniał wczesnym rankiem, gdy siedzieliśmy na Baker Street, popijając whisky z wodą sodową — od samego początku było zupełnie oczywiste, że jedynym możliwym celem niezwykłego ogłoszenia Klubu i przepisywania encyklopedii było pozbycie się z mieszkania naszego niezbyt bystrego właściciela lombardu na kilka godzin każdego dnia. Był to sposób dziwny, ale trudno byłoby znaleźć skuteczniejszy. Clayowi bez wątpienia podsunął ten pomysł kolor włosów jego wspólnika. Cztery funty tygodniowo stanowiły przynętę, która miała przyciągnąć Wilsona; dla nich drobna kwota, kiedy stawka były tysiące. Dali ogłoszenie. Jeden z lotrów tymczasowo wynajął biuro, drugi namówił chlebobdawcę, żeby się zgłosił, i tak wspólnie zapewnili sobie jego nieobecność w domu każdego ranka. Od chwili, kiedy usłyszałem, że pomocnik zgodził się pracować za połowę pensji, było dla mnie oczywiste, że z jakiegoś powodu musiało mu bardzo zależeć na tej posadzie.

— Ale jak odgadłeś ten powód?

— Gdyby w domu mieszkały kobiety, podejrzewałbym zwykłą, trywialną intrygę. To jednak nie wchodziło w grę. Lombard przynosi bardzo skromne dochody, a w domu właściciela nie ma niczego, co mogłoby usprawiedliwiać tak skomplikowane przygotowania i takie wydatki. Musiało zatem chodzić o coś znajdującego się poza domem. Co to mogło być? Pomyślałem o zamiłowaniu pomocnika do fotografii i o tym, że często znika w piwnicy. Piwnica! To był klucz do rozwiązania zagadki. Zacząłem wypyttywać o tajemniczego pomocnika i okazało się, że mamy do czynienia z jednym z najsprytniejszych i najzuchwalszych przestępców w Londynie. Robił coś w piwnicy, coś, co zajmowało wiele godzin dziennie przez kilka miesięcy. Co to mogło być? Nie przychodziło mi do głowy nic poza drążeniem podkopu do innego budynku.

Do tego doszedłem, zanim udaliśmy się na teren ich działania. Zaskoczyłem cię wtedy, uderzając łaską o chodnik. Chciałem się przekonać, czy podkop ciągnie się przed budynkiem, czy za nim. Przekonałem się, że przed domem go nie było. Potem zadzwoniłem do drzwi i, jak z góry się spodziewałem, otworzył mi pomocnik właściciela lombardu. Wprawdzie mieliśmy ze sobą kilka potyczek, ale nigdy nie stanąłem z nim oko w oko. Ledwie spojrzałem na jego twarz, interesowały mnie kolana. Zapewne sam zauważyłeś, jak zniszczone, wytarte i poplamione na kolanach były jego spodnie. Świadczyły o wielu godzinach pracy spędzonych na klęczkach przy kopaniu. Pozostało tylko pytanie, dokąd miał prowadzić ten tunel. Kiedy skręciliśmy za róg ulicy, zobaczyłem, że bank City and Suburban przylega do lombardu naszego przyjaciela i zrozumiałem, że rozwiązałem zagadkę. Kiedy po koncercie pojechałem do domu, ja odwiedziłem Scotland Yard i dyrektora banku. Rezultat tych wizyt już znasz.

— A skąd wiedziałeś, że spróbują rabunku właśnie dzisiaj? — zapytałem.

— Cóż, fakt, że zamknęli biuro Klubu, oznaczał, że nie zależy im już więcej na nieobecności pana Jabeza Wilsona. Innymi słowy, tunel został ukończony. Teraz musieli z niego skorzystać jak najszybciej, gdyż po pierwsze w każdej chwili mógł zostać odkryty, a po drugie złoto mogło zostać przewiezione w inne miejsce. Sobota była najdogodniej-

sza, gdyż dawała im dwa dni na ucieczkę. Na podstawie tego wszystkiego spodziewałem się ich dzisiejszej nocy.

— Piękne wnioskowanie! — zawołałem ze szczerym podziwem. — Taki długi łańcuch, a każde jego ogniwo jest doskonałe.

— Ta sprawa ocaliła mnie przed nudą — odparł, ziewając. — Niestety, już czuję, że znowu mnie nachodzi. Całe moje życie to jeden wielki wysiłek, by uciec przed banałem codziennej egzystencji. Te drobne zagadki mi w tym pomagają.

— Rozwiązując je, stajesz się dobroczyńcą ludzkości — dodałem.

Wzruszył ramionami.

— Cóż, może rzeczywiście jest z tego trochę pożytku — zauważył. — „*L’homme c’est rien, l’oeuvre c’est tout*”²⁶, jak pisał Gustave Flaubert²⁷ do George Sand²⁸.

²⁶*L’homme c’est rien, l’oeuvre c’est tout* (fr.) — Człowiek jest niczym, dzieło wszystkim. [przypis edytorski]

²⁷Flaubert, Gustave (1821–1880) — francuski powieściopisarz, wybitny przedstawiciel realizmu. [przypis edytorski]

²⁸Sand, George (pseud.), właśc. *Aurore Dudevant* (1804–1876) — francuska pisarka epoki romantyzmu; przyjaciółka wybitnych twórców kultury. [przypis edytorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/doyle-klub-rudowlosych/>

Tekst opracowany na podstawie: Arthur Conan Doyle, *Klub Rudowłosych*, tłum. nieznan, wyd. Jan Fiszer, Warszawa 1907.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach biblioteki Wolne Lektury (wolnelektury.pl). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Monika Kępska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-8048-1

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.